

# Brückner, Aleksander

---

## Próbki najnowszej krytyki historycznej. II

---

Przegląd Historyczny 3/1, 5-21

---

1906

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych, tworzonej przez Muzeum Historii Polski w Warszawie w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został opracowany do udostępnienia w Internecie dzięki wsparciu Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego w ramach dofinansowania działalności upowszechniającej naukę.

## PRÓBKI NAJNOWSZEJ KRYTYKI HISTORYCZNEJ.

### II<sup>1)</sup>.

Wobec zupełnego braku źródeł dla oświetlenia zatargu między biskupem a królem krakowskim i następującej potem katastrofy obu, krytyka historyczna staje się być „dywinacyjną“; przestaje kombinować, a zaczyna zgadywać. Nie uwzględniliśmy nawet wszelkich możliwości rozwiązania zagadki dziejowej; między innymi pominieliśmy bardzo dowcipny pomysł senatora Zengera, upatrującego w owym zatargu dramat familijny: niesłuszne pomówienie Stanisława i królowej, oraz mściwą zazdrość Śmiałego,—tragedya rodzinna splotłaby się z polityczną. Ale konflikt ten nie posiada wcale cechy ogólnodziejowej; na czysto miejscowym gruncie łatwiej o jakieś porozumienie.

Konflikt natomiast, o którym poniżej rozprawiamy, jest wręcz natury uniwersalnej, zaważył w dziejach całej Słowiańszczyzny, odbił się na życiu jej historycznem i do dzisiaj jeszcze trwają skutki jego w całej pełni. Nie na brak też źródeł należy się nam uskarżać: krytyka nie potrzebuje być „dywinacyjną“; jej zadaniem — wyzyskać należycie źródła i zrozumieć ich wskazówki. Zobaczmy więc, jakie postępy uczyniła krytyka źródłowa, interpretacyjna, w badaniu najciekawszego i najważniejszego ustępu z dziejów dawnych słowiańskich.

Za przewodnika obieramy sobie pracę profesora krakowskiego, K. Potkańskiego o: „Konstantyn i Metodyusz“ (Kraków 1905, str. 145). Z góry wyrażamy jej słuszne uznanie: prócz kilku niedokładności, które łatwo można było usunąć, a na które recenzent

<sup>1)</sup> Por. „Przegląd Historyczny“, I, 24 — 35.

małoruski, Dr. I. Franko (Nowe polskie Cyrillo-Methodiana, tom 66-ty Zapisek Towarzystwa Szewczenki, Lwów 1905) zbyt ni nacisk kładzie, jest to praca gruntowna, bezstronna, nawiązująca dzieje działalności obu braci soluńskich do wypadków w Carogrodzie i w Rzymie, do tła ogólnodziejowego i do ciągłych jego zmian, napisana z widocznym talentem, żywo i barwnie. Mimo tych zalet nie osiąga jednak swego celu, t. j. nie obroniła dotychczasowej tradycji konwencyjonalnego przedstawiania rzeczy przeciw najnowszym zamachom, godzącym w samo ich jądro.

Zamachy te wydają się autorowi, wydają się i innym, powołanym i niepowołanym—wynikiem jakiegoś szowinizmu, lekko-myślności, uprzedzenia; zamachami tymi kierowała wedle nich tendencja, t. j. umyślne obniżenie moralnej wartości dzieła braci soluńskich. Zamachy te wyszły z kuźni podpisanego i wywołały najżywsze protesty, nawet oburzenie. Oto co np. pisze Dr. Franko w przytoczonej recenzji—a pisze bardzo względnie, (inni odzywają się o wiele srożej):—„jak przyjemnie czytać pracę prof. Potkańskiego po gniewnych i złośliwych, a historycznej perspektywy pozbawionych napaściach prof. Brücknera“ i t. d. Moje wywody uchyla również stanowczo, chociaż polemiki unika zupełnie prof. Potkański; usuwa je milcząc, jako niehistoryczne i tendencyjne.

Widocznie zachodzi między mną a krytykami moimi nieporozumienie co do terminu: tendencja, tendencyjny. Nie chcąc się wdawać w teoretyczne, czy abstrakcyjne rozumowania nad podobnym zachwaszczaniem pola historycznego, wolę przytoczyć, właśnie z okazji misji braci soluńskich, najbardziej typowy przykład stroniczej, tendencyjnej krytyki historycznej, naciągającej gwałtem fakty oporne pod swoje widzimi się.

Od dawna nęciła ludzi myśl połączenia husytyzmu i kościoła Braci Czeskich z cerkwią prawosławną, ze Wschodem; już sami bracia czescy, jak: Strański i Komeński, ale dopiero w XVII wieku na to się pisali. W XIX-ym urosła ta myśl u historyków rosyjskich do wyżyn pewności; epoka Konstantego i Metodyusza, cyrylometodyańska, jest wedle nich bezpośrednim łącznikiem między wschodem—Carogrodem—a Husem i Hieronimem z Pragi. Wystarczy przypomnieć tytuł rozprawy, napisanej jeszcze w r. 1869 przez prof. Budiłowicza: „Czy nie był Hieronim z Pragi prawosławnym?“ Twierdzono dalej, że walkę uporną Husytów o kielich rozumie się tylko na tle faktu, że Czechów pozbawiono kielicha dopiero około połowy XIV wieku, że nie zatracili więc nigdy żywej jego tradycji.

Najgłębiej z rosyjskich uczonych wniknął w dzieje „Jednoty“ Iwan Palmow, autor świeżo wydanego, obszernego dzieła p. t. „Bracia Czeszy i ich wyznania“<sup>1)</sup>, studjujący od ćwierć wieku tę kwestyę; już r. 1882 wydał rzecz o kielichu w ruchu husyckim. Palmow, uchodzący doniedawna za sceptyka raczej, okazał się dziś również zwolennikiem Budilowicza i in. Jego także staraniem będzie teraz dowieść, że pod wpływem cyrylometodyańskiego prawosławia, reformacja czeska otrzymała swój osobliwszy kierunek... Przeszłość Czechów wskazywała dla wielu z pomiędzy nich światło chrześcijaństwa, jako przyjęte ze wschodu, prawosławie cyrylometodyańskie, którego wyniki dobroczynne nie mogły pozostać bez skutków i t. d.

Otóż tak wygląda uprzedzenie! Połowę XIV wieku, cały następny ruch do Husa, ucznia Wiklefa—nie prawosławia—widzimy przed sobą jak na dłoni. Całą współczesną literaturę znamy, znamy ów niepokój sumień, owe walki o przyjmowanie sakramentu Ołtarza, lecz tylko: ile razy do roku przyjmować go należy—nigdy pod jakimi postaciami! Znamy ów protest przeciwko zgubnemu zeświecczeniu kleru i Kościoła, dochodzący aż do uznawania Antychrysta w... Karolu IV, albo w papieżu. Cała jasność dzienna oblała te postacie i ich zapasy,—ale nigdzie niema najmniejszego śladu, aby ci ludzie, aż do Husa i Hieronima, cośkolwiek o spuściznie jakiejś cyrylometodyańskiej wiedzieli, pomnieli choćby o najwątleszych śladach prawosławia w Czechach, lub mieli jaką świadomość, jakoby od wschodu inne, bardziej apostołskie chrześcijaństwo, niegdyś ich przodkowie byli przyjęli. Więc w dzieje,—dla których wszystko to jest całkiem obce—wprowadzać gwałtem takie tendencje, odnajdywać w nich ślady rzeczy niebyłych, oto co zwiemy uprzedzeniem.

Nie pomoże tu nic powoływanie się na to, że Hieronim przed soborem Czechów od Greków wywodził; tem samem potrzasał i Orzechowski u nas, tylko z prawosławiem nie miało to nic do czynienia. Że jeszcze w Ołbrządku Koronacyjnym wymienia Karol IV przyjęcie Sakramentu pod obiema postaciami... Ależ to tylko chodzi o panującego, wedle odwiecznego ceremoniału, i to tylko przed koronacją, nie kiedyindziej; nigdy to ludu pospolitego nie obowiązywało! Powoływać się na Benedyktynów słowiańskich w Emausie praskim (mieliśmy ich i w Krakowie)—mżonki to Karolowe, bez głębszych skutków, ani dłuższego trwania. Takie argumenty dowolne nic a nic nie znaczą wobec jasnych związków,

---

<sup>1)</sup> Praga 1904, około 809 str. Ukazał się dopiero tom pierwszy.

łączących Husytów z Anglią Wiklefową i z Waldensami Zachodu, lecz przenigdy—ze Wschodem. I nie dali się zwieść poważni historycy czescy ani na chwilę tym ułudom syrenim; zaprotestował przeciw nim jeszcze przed ćwierć wiekiem Kalousek w „Czasopiśmie Czeskiego Muzea“, zaprotestował świeżo Bidlow w „Czeskim Czasopiśmie historycznym“ (XI, 203 i nast.); fantastyczne kombinacje Strańskiego i Komeńskiego również niczego nie dowodzą.

Czyż wniosłem podobne uprzedzenia i tendencje we własne badania? Z obu stron: z katolickiej i z prawosławnej posypały się na mnie zarzuty; nie kierowało mną widocznie uprzedzenie katolickie, skoro się na mnie Jezuici srodze oburzyli; tem mniej prawosławne. Coby można mi było jedynie zarzucić, to chyba tylko, że nie zrozumiał źródeł, że je mylnie wytłumaczył, że naciągam ich sens dowolnie do jakiegoś własnego widzimisie, na przekór ustalonym powszechnie poglądom: więc chyba jakieś nowatorstwo, jakąś chęć postawienia na swoim, na nowym wymyśle; sam wymysł miał zaś powstać z przenoszenia stosunków późniejszych na tło dawniejszych. Toczy się więc sprawa, jak inaczej być nie może, o źródła i o ich pojmowanie.

Jakież mamy źródła do dziejów braci soluńskich?

Świat grecki, z którego bracia wyszli,—obaj Grecy znacznego niby rodu i wybitnej roli—ten ich własny świat grecki nic a nic o nich nie wie. Mówią natomiast o nich źródła łacińskie, pisma papieskie, episkopatu salcburskiego, dygnitarzy Kościoła rzymskiego, legenda jedna łacińska i dwa żywoty słowiańskie, obok których są i krótsze późniejsze wzmianki w kronice kijowskiej i w dziełkach kościelnych, oraz w innych legendach łacińskich. Oto cały nasz zasób źródłowy. Przypatrzmy się jego wartości. Pisma i instrukcyj papieskich, zachowanych w mniej, lub więcej wierzytelnych odpisach Jana VIII i Szczepana V, nie myślimy analizować; daty wypisano im na czole, są to rzeczy oficjalne, należy więc na nich polegać. Również autentyczny jest list Anastazego o Konstantym; również nie podejrzaną, acz stronnictwą, jest obrona arcybiskupstwa salcburskiego i praw jego przeciw uroszczeniom Metodego. Wszystkie te dokumenty urzędowe rzucają światło tylko na pewne momenty w czynnościach obu braci. Szczegółów, np. o rzeczach dawniejszych, z przed r. 870, nie zaczerpniemy z nich żadnych. Całość dają nam tylko trzy legendy: jedna łacińska, prawiąca głównie o odnalezieniu relikwii chersońskich papieża Klemensa przez Konstantego i o przewiezieniu ich do Rzymu przez niego; dalej dwie słowiańskie, żywot Konstantego-Cyryla i żywot Metodego. Żadna z tych legend nie jest datowana; milczą one jaknajskrupu-

łatniej o czasie, w jakim powstały i o tem, kto i gdzie je napisał. Nie pozostaje nic innego, jak tylko badać je same, czy nie wydadzą swej tajemnicy, czy nie dojdziemy z nich samych autora, oraz miejsca i czasu ich powstania?

Gdybym chciał wyliczać, sprawdzać i zbijać to, co o tych trzech legendach dotąd nabajano, nie doszedłbym rychło do końca. To uważano je za słowiańskie, to za tłumaczenia z greckiego, a łacińską legendę ze słowiańskiego, to miał je napisać uczeń Metodego, Klemens bułgarski, to kładziono je na karb IX wieku, to wreszcie uznawano w legendzie o Cyrylu liczne uwarstwienia epiczne. Rzecz cała przedstawia się pod względem metodycznym bardzo ciekawie; możnaby się na niej uczyć, jak się źródła bada, albo też—jak ich badać nie należy.

Rękopisy zawodzą; żywotu Cyrylowego dziwnym trafem nie posiadamy wcześniejszego; liczne jego odpisy sięgają tylko XV wieku; dzieli je więc przeciąg 600 lat (!) od ich bohatera; żywotu Metodego nie posiadamy w tak licznych odpisach, zato sięgają jego odpisy XII-go wieku; legendę łacińską posiadamy w dziele XIII-go wieku. Pozostaje nam więc uciec się do ich cech wewnętrznych, skoro zewnętrzne zawodzą.

Oba żywoty czy legendy słowiańskie, bo o nich najpierw pomówimy, różnią się między sobą rażąco; nie tyle tonem, ile objętością. Żywot Konstantego, mimo to, że brata o tyle lat w śmierci wyprzedził, jest dwa razy obszerniejszy, niż żywot Metodego. To bogactwo jednak jest tylko pozorne, a ta obszerność tłumaczy się tem, że żywot Konstantego nie jest tylko życiorysem czy legendą, lecz służy zarazem niby za podręcznik apologetyki wschodniej; legenda Konstantego jak i jej bohater polemizują z mahometanami, z żydami, z łacinnikami i pozostawiają po sobie przedewszystkiem argumentację przeciw głównym nieprzyjaciółom młodego kościoła i obrządku słowiańskiego. Legenda Metodego—nie potrzebowała tej polemiki na nowo powtarzać, mogła być o tyle krótszą. Już ta okoliczność, ta obszerność części apologetycznej, wskazuje na dawność żywotu Konstantowego; obliczony jest on widocznie na młodą rzeszę, której należy bronić przeciw wszelkim zapędom wrogim. Rozstrzyga jednak dla obu żywotów kwestyę wieku obfitość i dokładność szczegółów; niema ani jednego, coby zdradzał późniejsze pochodzenie, a jest to rzecz bardzo ważna. Dzieło Metodego (i Konstantego), Kościół morawski, przetrwał tylko lat kilka śmierć założyciela, runął zaś niebawem do szczętu; sam władca morawski cofnął mu opiekę i rękę swoją i sam wydał go na zniszczenie. Tymczasem w żywocie Metodego najmniejszego o tem

śladu nie znajdziemy. Żywot napisany, jakby ten jego kościół morawski na niezłomnej jeszcze spoczywał skale; o Świętopełku, co go przecież zniszczyć kazał, wyraża się żywociarz Metodego tylko ze czcią przynależną, usuwa wszystko, coby pamięci panującego (a ciążyły na niej grzechy główne, np. zdrada przeciw Rościsławowi uknuta) ubliżało; nie czyniłby tego, ktoby miał Świętopełkowi cośkolwiek do zarzucenia. I rzeczywiście, żywot grecki Klemensa bułgarskiego, napisany już po katastrofie morawskiej, nie poskąpił bynajmniej wyrzutów Świętopełkowi, jego barbarzyństwu, jego rozwiązości; skoro więc niema najlżejszego cienia zarzutów przeciw temuż samemu Świętopełkowi w żywocie Metodego, toć chyba wolno się domyślać, że napisany on może jeszcze przed katastrofą, kiedy uczniowie Metodego widzieli w Świętopełku podporę swego Kościoła. Nie potrzebuję dodawać, że szkalowania legendy Klemensowej są raczej prostym wymysłem; najzawziętsi wrogowie Świętopełka, Niemcy, nic o nich nie wiedzą. Więc może powstał żywot Metodego w roku jego zgonu, 885, na Morawach, z ręki ucznia Metodowego? Przeciw temu przypuszczeniu nie przemawia nic a nic; za nim—ów dziwny spokój, owa otucha w trwałość dzieła Metodowego, ów brak najlżejszego śladu rychłej katastrofy, którą papież i Świętopełk na to dzieło razem sprowadzili. Obu z największą czcią ów żywot wspomina. Gdyby żywot powstał po r. 890 gdzieś na ziemi bułgarskiej, kiedy wszystkie związki z Morawą, z papiestwem, z Zachodem, już raz na zawsze zerwano, to czyż to możliwe, iżby najlżejszy ślad takiej zmiany fundamentalnej w nim się nie ujawnił? W istocie też nikt nie wątpi o dawnym powstaniu tego żywota; ja obstaję tylko przy datowaniu go z czasu przed katastrofą. Mógłbył przecie nieco późniejszy z żywociarzy nagłą, niespodzianą śmierć Świętopełka przedstawić niby tylko karę Bożą za zniszczenie dzieła Metodowego—aliści ani śladu takiego zapatrywania nie znajdujemy; chyba więc żywot Metodego napisano, kiedy może Gorazd wyznaczony był na następcę przez Metodego i liczył jeszcze, że się utrzyma w Wielogrodzie morawskim. Bo pocóż by wspominać i o tym następstwie i o błogosławieństwie umierającego Metodego, udzielenem Świętopełkowi, gdyby to wszystko już się w niwecz było obróciło? Nadto, nie świadczyłoby to wcale o proroczym darze Metodego, o jakim żywociarz wyraźnie wspomina. Dla tej to przyczyny nie mogłem się pogodzić z myślą, jakoby żywot Metodego gdzieś dopiero w początku dziesiątego wieku w Bułgarii spisano i upieram się przy datowaniu go z ziemi Morawskiej z przed r. 890. Ani potrzeba wspominać, jaką starożytnością tchnie cały żywot.

Dla niedowiarków przytoczę choć jeden drobny ale bardzo znamienny szczegół. W żywocie tym czytamy list papieża Hadryana do książąt słowiańskich, polecający im gorąco obrządek słowiański; czytamy tam między innymi: jeśli który nauczyciel wasz śmiałby ganić wasze księgi (t. j. kościelne słowiańskie), niechaj będzie odłączon nietylko od „wsuda“ ale i od „Kościoła“, aż się poprawi... Co znaczy ten „wsud?“ Słowa tego pomniki słowiańskie wcale nie znają; powtarza się ono tylko w najdawniejszym mszale kijowskim i wiedeńskim (a raczej w szczątkach ich), sięgających wprost liturgii słowiańsko-łacińskiej na Morawach z dziewiątego wieku. Tylko w owych dwu pomnikach „wsąd“, „wsud“ oznacza komunię; trzecim jest nasz żywot Metodego, odłączający przeciwników obrządku słowiańskiego nietylko od komunii, od sakramentu ołtarza, ale i od Kościoła samego. Powtarzamy: żaden pomnik starosłowiański terminu tego nigdy nie używał, stanowi on właściwość „morawską“. Ale to nie jedyna cecha starożytna żywotu Metodego... Z jakąż to skrupulatnością przestrzega on np. terminologii państwowej! I tak, cesarza zna tylko jednego, t. j. greckiego; króla również tylko jednego t. j. frankońskiego; tylko księciem nazywa Świętopelka; Węgrów nad Dunajem jeszcze niema („kral ugorskij“ rękopisu jest frankoński!!); o Wiślanach prawi, o których tylko źródła IX wieku coś słyszały. Nie postępuję chyba niekrytycznie, odnosząc ów żywot do tak wczesnej daty; napisano go, jako *pendant* do żywotu Konstantowego; uzupełnia on go nawet w pewnej mierze, wylicza przynajmniej, czego niedostawało tamtemu, t. j. sobory ekumeniczne; nie powtarzał zresztą niczego, uporał się także króciutko ze wspólną działalnością obu braci, aby tem szerzej o Metodym po śmierci Konstantowej rozprawić— jakby autor jego żywot Konstantego miał przed oczyma.

Żywot Konstantego jest o kilka, lub raczej kilkanaście lat starszy; napisał go Metody sam, albo kazał go wedle swych wskazówek ułożyć. To nie mój wymysł; tak samo sądzi np. prof. Golubinskij, najznakomitszy historyk cerkwi ruskiej. Przeciw temu mniemaniu nic przytoczyć niemożna; za nim przemawia wszystko: dokładność, szczegółowość opisu, nie zdradzająca w niczem późniejszego, mniej autentycznego początku. Brat starszy, kochający i podziwiający młodszego brata, najczulszy jego powiernik, stawia mu pomnik, zna jego sny, pomysły jego najskrytsze, słowa modlitwy jego w każdej ciężkiej chwili i w chwili przedzgonnej. Nie nazywa się tylko po imieniu, wedle zwykłej normy hagiograficznej, ażeby go o pochlebstwo nie posądzono. Któż inny znał tak Konstantego, któż miał pobudki silniejsze bronienia dzieła



jego przeciw wszelkiej napaści? Że i w tym żywocie niema najlżejszej wzmianki, wskazującej czasy późniejsze, nie potrzebuję przypominać.

Pozostaje legenda włoska, łacińska. I jej powszechnie przypisują dawne pochodzenie (X wiek), choćby dlatego, że później nikt się w Rzymie kultem św. Klemensa tak bardzo nie zajmował, żeby aż osobną relacją o odnalezieniu zwłok jego i o przywiezieniu ich do Rzymu tworzył nanowo; tem mniej mógłby później ów Konstanty-Cyryl, którego śmierć i pogrzeb w bazylice Klemensowej obszernie tam opisano, — jakiegokolwiek wzbudzać w Rzymie zajęcie. Mojem zdaniem jednak, datowanie legendy włoskiej, jako zabytku wieku X-go, również jest mylne; napisana była ona raczej w r. 879. Dawno bowiem zauważono, że niektóre ustępy słowiańskiego żywota Konstantowego powtarzają się dosłownie w łacińskiej legendzie włoskiej; przypadek, traf, jest wykluczony; związku nikt nie zaprzecza. Tłumaczą go tylko różnie; jedni czynili żywot słowiański zawisłym od legendy łacińskiej, drudzy domyślali się przeciwnie, że łacinnik użył w X wieku żywota słowiańskiego dla swego dziełka. Nie żywot słowiański kopiował legendę łacińską, lecz legenda skraca formalnie pewne ustępy żywota. Nie zachodzi jednak między obu źródłami zwykła w podobnych razach zawisłość; czujesz, że legenda ma swoje odrębne cele, że posiłkuje się tylko tu i owdzie żywotem. Gdyby była tłumaczeniem żywota słowiańskiego, — wtedy i my nic przeciw X wiekowi nie moglibyśmy zarzucić, ależ są różnice, są szczegóły nowe, o których autor X wieku znikąd nie mógł się dowiedzieć. Trudności te usuwamy, odnosząc legendę włoską jeszcze do IX wieku, kiedy Klemensem i Cyrylem (Konstantym) istotnie się zajmowano; ponieważ zaś ta legenda, niby Klemensowa, kończy się na apoteozie Cyryla i na jego śmierci, co Włocha, czy Rzymianina zbytnio obchodzić nie mogło, przypuszczam, że to brat Metody wystarał się o taką relację. Sam nie władał może na tyle łaciną, ale miał na Morawach łacinników: takim był np. Gorazd, którego następcą swoim wyznaczył, oczywiście aby mógł ze Stolicą Apostolską i z episkopatem niemieckim bez tłumaczy się ucierać. Więc mógł Metody polecić Gorazdowi, czy komu innemu, napisanie owej legendy łacińskiej i w ten sposób wyjaśnia się owa częściowa zgodność z żywotem słowiańskim, już istniejącym, skoro on sam informował autora legendy, oraz dodawał i inne rzeczy, o których w X wieku nikt nie mógł wiedzieć, np. jakoby Rościsława wieść o pomyślnym przebiegu misji chazarskiej Konstantego skłoniła do wysłania własnej misji i t. d. Gdy Metody wyruszył do Rzymu, zapozwany przed

sąd papieski (879 r.), wziął z sobą tę legendę, aby wznowić w Rzymie pamięć brata, zmarłego tam przed dziesięciu laty, aby ta pamięć jemu samemu dopomogła. Mógł ją nawet dać w Rzymie napisać: o szczegóły spierać się nie myślę; chodzi mi tylko o fakt, że legenda włoska powstała około 880 r., oraz, że się opiera na żywocie Cyrylowym, czyli innemi słowy, że wyszła z inicjatywy, albo z wiadomością i z udziałem samego Metodego, ponieważ nikt inny nie mógł wtedy korzystać z żywotu słowiańskiego i ponieważ służy jego celom wybornie.

Szczegółowa analiza potwierdziłaby tylko tę hipotezę o stosunku wzajemnym owych trzech źródeł. Nie mogę jej tu przeprowadzać; nie mogę dowodzić, jak się wszystkie trzy legendy zgadzają i dlaczego w drobnych szczegółach na pozór się rozchodzą. Ale przytoczę jeden i drugi z tych szczegółów, aby wykazać, jak niesłusznie opierano się na tej mniemanej niezgodności przy ocenie źródeł. Żywoł Konstatego twierdzi, że przebywał on czterdzieści miesięcy na Morawach, ucierając się z przeciwnikami obżędku słowiańskiego i że wybrał się stamtąd dla wyświęcenia uczniów swoich (wstępując po drodze do Kocela) na Wenecyę, gdzie nową odbył dysputę z „trójjęzycznymi“, do Rzymu, dokąd go papież (nienazwany z imienia) powołał i uczniów święcić kazał. W legendzie włoskiej czytamy, że przebył na Morawach lat cztery i pół; niema tu żadnej niezgodności, jest tylko pomyłka. Liczba lat była wypisana, jak zawsze, w rękopisie tak: III, a kopista jakikolwiek przeczytał IIII—oto i cała „niezgodność!“ Czytamy dalej, że powołał go papież Mikołaj, a przyjął Hadryan po rychłej śmierci Mikołajowej; Hadryan wyświęcił braci na biskupów, uczniów zaś na księży i dyakonów. I tu niema nadzwyczajnej niezgodności, jest tylko skrócenie: w żywocie niema wzmianki o żadnym wyświęceniu biskupim, boć Hadryan dopiero po śmierci Konstatego-Cyryla wyświęcił Metodego na biskupa (za drugim pobylem rzymskim); tego wyświęcenia biskupiego nie chciał Metody w legendzie łacińskiej pominąć, więc je tutaj już wstawić kazał. Żywoł Metodego wreszcie o tem wszystkim twierdzi, co następuje: gdy trzy lata minęły, powrócili (obaj bracia) z Moraw, wyuczywszy uczniów; powołał ich papież Mikołaj do Rzymu i wyświęcił Metodego na księdza, wykłął trójjęzycznych i kazał biskupowi „trójjęzycznemu“ wyświęcić zpośród uczniów słowiańskich kilku księży, a gdy Kocel poprosił papieża o wysłanie Metodego, posłał go z listem papież Hadryan. I tu niema żadnej niezgodności; dla krótkości powiedziano: trzy lata (zamiast trzy lata i cztery miesiące!), oraz użyto terminu „powrócili“, zamiast „wybrali się w drogę“.

Nowsi badacze zbudowali na tym terminie najpiękniejsze hipotezy, że bracia powrócili, skąd przyszedli, t. j. do Konstantynopola, oraz dlaczego i kiedy stamtąd do Rzymu znowu się wybrali, co jest nonsensem wobec dokładnego itineraryusza w żywocie Cyrylowym. Opuszcza przecież żywot Metodego wszystkie szczegóły, (np. o pobycie u Kocela, a skądżeż by się był Kocel o Metodym dowiedział?) dla tej prostej przyczyny, że to wszystko *per longum et latum* już w poprzednim żywocie wypisano i powtarzać tego nie potrzebowano, jak nie powtarzano szczegółów chazarskich i t. d. Że papieża Mikołajem nazwał, i to dla krótkości... Przecież następnie list od Hadryana a nie od Mikołaja przytoczył... Ponieważ o Wenecyi ani o Morawach nie wspominał, więc rzecz o trójjęzycznych do Rzymu przeniósł a szczegół o owym biskupie i kłątwe papieskiej z palca sobie wyssał.

Niezaprzeczymy więc drobnych niedokładności, dla krótkości i innych przyczyn (o czem niżej) popełnionych, ale te drobne skazy nic nie znaczą wobec jednolitości trzech źródeł, wobec dosłownej ich zgodności w rzeczach najważniejszych. I jasnym jest dla mnie, że owe trzy źródła redukują się do jednego: do informacji Metodego. Żywot Cyryla-Konstantego napisał on sam; legendę łacińską, jeżeli jej sam nie napisał, to kazał ją napisać wedle swoich wskazówek i nawet do własnego żywotu przygotował materiał, ułożył go—falszyfikat conajmniej—i podał różne szczegóły w oświetleniu, jakiego sam pragnął. Wobec tego niema celu spieranie się o to, który z żywotów „większą wartość historyczną“ przedstawia, a poszukiwania prof. W o n d r a k a, siłające się na podstawie kikunastu, dosyć obojętnych słówek, autorstwo żywotów przypisać Klemensowi bułgarskiemu, przyjęto i słusznie, z największym sceptycyzmem.

Z takiej oceny źródłowej wynika, że tam, gdzie się owe „trzy“ źródła zgadzają, nie posiadamy zgodności źródeł, powstałych niezależnie w różnych wiekach i okolicach i czerpiących każde skądinąd swe wiadomości, lecz jedno jedyne źródło, informujące Metodego, zredagowane raz po słowiańsku, drugi raz po łacinie, a raz wysuwające te, to znowu inne szczegóły. Zgodność trzech źródeł, któraby wszędzie indziej rozstrzygać mogła o prawdziwości szczegółów, przedstawia się nam tutaj jako całkiem jednostronne oświetlenie przebiegu faktycznego sprawy, to też nie liczymy się z trzema, lecz z jednym tylko świadkiem. Skoro nasz wywód jest słuszny, a nikt nie wytoczył dotąd rozstrzygającego argumentu przeciw niemu, zmienia się zupełnie dotychczasowy pogląd na stan źródeł o czynnościach braci soluńskich. Dzielimy je teraz

na dwie grupy: jedną tworzą zapiski, listy i t. d. urzędowe społeczne, drugą wszystkie legendy i żywoty razem wzięte, t. j. jednostronne przedstawienie rzeczy,—relacya jednego bardzo zainteresowanego świadka.

Na takiej podstawie osnułem dalsze wnioski.

Wszyscy poprzedni badacze—z jednym wyjątkiem,—nawet historycy, jak Dümmler, co niemal całe życie nad IX wiekiem strawił, filologowie tak głośni skądinąd, jak Miklosicz i Jagicz, zajęli wobec legendy i żywotów dziwnie niekrytyczne stanowisko. Wszyscy, począwszy od Schlözera i Wostokowa, a skończywszy na prof. Potkańskim, przyjęli opowiadanie legendowe w dobrej wierze, jakby najobiektywniejszą relacyę o rzeczach i ludziach; ani przez myśl im nie przeszło zapytać, czy legendy są wiernym odbiciem faktów, czy nie, i czy nie zamąciły one umyślnie owego odbicia faktów: czy nie przejawia się w nich jakaś tendencya, pacząca sądy i opowiadanie dla pewnych celów?

Otóż taka tendencya jest; legendy nie opowiadają po prostu, jak się rzeczy miały, nie zapatrzyły się jedynie — w podziwie, — w czyny, słowa, myśli, w cuda i dziwy swych bohaterów, na których zlała się łaska Boża, lecz przejęte są całe cechą apologetyczną: bronią dzieła, którego się Konstanty i Metody podjęli.

A dzieło to potrzebowało obrony gwałtownie, bo było niesłychane i niewidziane, zarówno na zachodzie jak i na wschodzie.

Wszyscy badacze przyjmują śmiały plan braci soluńskich niemal jakby coś, co się samo przez się rozumiało; potrzebowali Słowianie morawscy nauki i obrządku w swoim języku i dwaj Grecy soluńscy dostarczyli im natychmiast tego, czego ci sobie życzyli, boć tak opowiadają legendy. Tymczasem już najdokładniejszy znawca historii Kościoła wschodniego, trzeźwy badacz, co się niczem oszłomić nie dał, rosyjanin Gołubinskij, zaprotestował przeciw takiej naiwności; zaznaczył, że ani Morawianom przez myśl przejść nie mogło—prosić, ani Grekom—pozwolić na to, co byłoby niesłychanem w Kościele; jednym słowem, że Cyryl samowolnie, ani proszony przez Morawian, ani upoważniony przez Greków, wymyślił obrządek słowiański i Morawianom go narzucił. I w rzymskim i w carogrodzkim Kościele liturgia i obrządek w jakimś innym języku, oprócz łacińskiego lub greckiego, były czemś absolutnie niemożliwem, po prostu herezyą; jeżeli też w żywocie Konstantego Konstanty wojuje o obrządek słowiański (nie o tłumaczenie Pisma św., bo to zupełnie co innego), to argumenty jego pozornie tylko przeciw samym łacinnikom się zwracają; tak samo należy je i przeciw Grekom skierować. Nic zaś nie mogło być

dla Greka,—a takim był Konstanty—straszniejszego, niż pomówienie go o nowatorstwo, nie uznane przez Ojców Kościoła, ani przez siedem soborów powszechnych, t. j. posądzenie go o herezję. A więc musiały żywoty słowiańskie (legenda włoska milczy o tem świadomie i umiejętnie), usprawiedliwić to nowatorstwo, musiały wykazać, że to nie samowola braci soluńskich, że to dzieło pobłogosławione przez cesarza, patriarchę i apostoлика (papieża); że nie pokusili się bynajmniej Cyryl ani Metody sami o tę imprezę, że narzucono im ją, że nakazano mężom, unikającym świata i spraw jegó, podjęcie misji trudnej, umożliwionej przez łaskę i dary Boże, oraz przez aprobatę wszystkich, w grę wchodzących instancyi. I oto uznajemy w żywotach tendencyjną apologię i usprawiedliwienie niesłychanego dzieła, nie zaś prostoduszne o nim opowiadanie; nie przyjmujemy żadnej wiadomości naszych żywotów, nie potwierdzonej przez źródła niezawisłe, i, nie zapytawszy wprzód, czy to możliwe, czy prawdopodobne, czy nie ukrywa się za tem zakiś cel uboczny. Jednem słowem, gdy wszyscy historycy zrzekli się wobec tych żywotów najprymitywniejszej krytyki, gdy ślepo im zawierzyli, warujemy sobie prawo krytyki i nieufności. Jak niegdyś Niebuhr bajki Liwiuszowe, tak my pozwalamy sobie dzisiaj uprzętać to, co zmysł prawdy obraża, w czem odgadujemy tendencyę.

Najciekawsze przytem jest, że już przed nami zaczęła krytyka historyczna cały szereg mniemanych faktów, podawanych przez legendy i uznała je za niewiarogodne, niemożliwe, lub za bardzo a bardzo wątpliwe. I tak opowiada żywociarz Konstantego o dyspucie młodziutkiego Konstantego z obrazoburczym patriarchą; dalej o misji Konstantego do Arabów, co niby Greków na dysputę teologiczną wyzwali. Już w 1877 r. oświadczył inny historyk cerkwi ruskiej, prof. Woronow, że obie te dysputy są zmyślane, albo conajmniej wątpliwe. Jego powątpiewania potwierdził prof. Lamanski, znany filolog i sławofil zarazem, w szeregu artykułów, ogłoszonych w „Żurnalu Ministerstwa Oświaty“ z 1903 i 1904 r.; dowiódł tam jak na dłoni, że nigdy się Arabom o podobnym wyzwaniu nie śniło, że jeżeli Konstanty odbył jaką dysputę z jakimiś Arabami, to na własną rękę, nie posyłany w misji oficjalnej, jak to żywot przedstawia. Również zauważono dawno (jeszcze Woronow), że i z misją chazarską Konstantego coś krucho... Żywociarz opowiada o oficjalnej misji chazarskiej Konstantego około r. 860 i o jej świetnym niby wyniku; tymczasem źródła arabskie opowiadają, że Chazarowie w r. 865 przyjęli Islam, a greckie, że dopiero na początku X wieku zjawilo się po-

selstwo chazarskie z prośbą o wysłanie biskupów. O niby oficjalnej misji Konstantego milczą źródła greckie, jak grób, chociaż patriarchy, Focyusz, miał dobrą sposobność dla wzmianki o niej w znanem swem piśmie okolnem. Ba, ostatnimi czasy wystąpił Dr. I. Franko z dowodami, jakoby Konstanty wcale nie odnalazł relikwii św. Klemensa w Chersoniu. W Zapiskach Towarzystwa Szewczenkowego we Lwowie (tom 59 i 60, 1904 r.) w studyum p. t. „Św. Klemens w Chersoniu, przyczynki do historii legendy staroruskiej“, starał się wykazać, że na Konstantego przeniesiono tylko opowiadanie o innym Greku, co na początku IX wieku owe relikwie odszukał, że więc milczenie, jakie Konstanty o tej mniemanej zasłudze swojej stale zachowywał (o czem źródła wspominają), byłoby aż nadto uzasadnione. Przyznam się, że argumentacja Dr. Franko nie zupełnie mnie przekonała; są w niej pewne luki, których dotąd nie zapełniono z powodu braku wiadomości o chersońskich dostojnikach ówczesnych. Lecz mniejsza o to, czy się uda Dr. Franko złączyć wszystkie ogniska dowodowe; zaznaczam sam fakt, że runęło albo poważnie zachwiało się wszystko to, co żywot Konstantego o jego misjach i dysputach—przed morawską — opowiada.

Zaczepliłem wiarogodność opowiadania o misji morawskiej, zanim poznałem studia Łamańskiego, Woronowa i Gołubińskiego; obce studia utwierdzały mnie tylko we własnych wywodach. Prof. Potkański nic o tem nie chce wiedzieć i trzyma się dalej tradycyi legend, uznaje ich wiarogodność zupełną. Przypatrzmyż się rzeczy samej.

Osią sporu nazwać można to, czy książę Morawski, Rościsław, zwrócił się sam, jak legendy o Cyrylu i Metodym utrzymują, z prośbą o „misyonarzy“ jakichś do Bizancyum: czyli też, jak ja utrzymuję,—bracia soluńscy z własnej inicjatywy i dla własnych celów i widoków misji morawskiej się jęli? Wszyscy historycy, nasi i obcy, przyjąwszy na wiarę to, co legendy podają, starali się o wymyślanie powodów, jakieby krok Rościsława uczyniły zrozumiałym, podsuwając wiekowi IX-mu—co rzecz niesłychana—tendencje XIX-go!! Tymczasem należało najpierw sprawdzić sam „fakt“, czy jest wogóle możliwy lub prawdopodobny, a potem dopiero wyszukiwać jego motywy.

Otóż twierdzą ponownie, że Rościsławowi misja carogrodzka nawet przez głowę przejść nie mogła. Powołują się przeciw temu stale na (późniejszy nieco przykład) Borysa bułgarskiego, wahającego się jakiś czas pomiędzy Carogrodem a Rzymem; twierdzą dalej, że dla uzyskania niezależności państwowej, uchylał Rościsław

zależność kościelną niemiecką (passawską), udając się do Carogrodu mimo Niemców i Rzymu. Dwie omyłki fatalne, których ani wytłumaczyć, ani wybaczyć niemożna.

Najpierw bowiem, Borys i Rościsław nic a nic wspólnego nie mają. Borys, to potężny władca, niezawisły od nikogo, groźny. Carogród zachwiał się w swoich posiadach nie dopiero za Symeona bułgarskiego, ale jeszcze przed Borysem, w pierwszej połowie IX wieku, i nie w X dopiero, lecz już w IX wieku powołał, zrozpaczony, Węgrów przeciwko Bułgarom na pomoc. Borys był dalej poganinem, więc gdy miał przyjmować chrześcijaństwo, a wrogi mu Carogród z państwem jego graniczył, miał wszelkie powody zawahać się, dokąd to ma się udać po owo nowe całkiem dla niego chrześcijaństwo. W końcu oświadczył się za Carogrodem, chociaż Rzym, zdawałoby się, zupełną niezależność mógł mu rokować. Rościsław tymczasem, to nie Borys, nawet nie Świętopelk, faktycznie niezależny, lecz zwykły sobie hołdownik niemiecki, opierający się dotąd (ale na jak długo?) nawale niemieckiej, liczący raczej na rozterki w rodzie Karolowym, niż na siły własne, drżący o własną skórę. Co więcej, był on już katolikiem, Rzymianinem, i do wyboru między stolicami duchownymi nic go nie upoważniało. Cóżby wreszcie zyskał, udając się do Carogrodu? Do dawnych kłopotów i walk, chyba nowe osłabienie. Na pomoc carogrodzką materyalną nigdy liczyć nie mógł, więc cóż go tam mogło ciągnąć? Niezależność kościelna? Ależ najpierw należało polityczną uzyskać; kościelna, o czem Rościsław najlepiej wiedział, przypadła sama w udziale. Greko-słowiański kościół, którego nb. wcale nie było na Morawach, wobec oręża i roszczeń niemieckich byłby bezsilny. Nikt też ze współczesnych ani z późniejszych władców słowiańskich na podobne ekstrawagancje się nie puszczał. Pomijając Czechów, nie śniło się nawet Chrobremu o coś podobnego do Bizancyum się udawać, chociaż drogę do niego znał stokroć lepiej niż Rościsław. Jeżeli, wbrew prawdopodobieństwu, Rościsław, nie mając niezawisłości politycznej, marzył już o kościelnej, to miał do tego jedną jedyną, za to łatwutką drogę—tę samą, którą kuzyn jego, Świętopelk i tegoż następcy rzeczywiście stale chodzili, t. j. mógł się udać wprost do Rzymu i poddać, mimo protestu niemieckiego, Stolicy św. Piotra swoje „państwo“. Innej drogi nie było—droga do Carogrodu byłaby szaleństwem. Iżbym zaś uwierzył w takie szaleństwo, wymagam świadectw; wymysł trzech legend nigdy mi na to starczyć nie może.

A więc Rościsław, rzymski katolik i niemiecki hołdownik, to nie poganin ani mocarz potężny, Borys; myśli zaś o jakimś naro-

dowym kościele, niewolno nam z XIX-go w IX wiek przenosić w wiek, kiedy to nawet wątpiono, czy modlitwa, nie w łacińskim języku odmawiana, skuteczną jest u Boga!! Zarzuci mi jednak czytelnik, jakim prawem usuwam tradycję trzech legend, których prawdziwości w tyłu szczegółach doświadczono? Odrzuca przecież i prof. Potkański nieraz ich świadectwo; mówi np. (str. 23) „przesada żywotów okazuje się jak na dłoni“; albo (str. 17) „dla uproszczenia sobie zadania, odrzucmy odrazu a limine taką np. wiadomość legendy rzymskiej, że to sława chazarskiej misyi spowodowała Rościława do szukania Konstantyna; wiemy, że tak być nie mogło“. Cóżby powiedział autor, gdybym całkiem wedle jego recepty zawyrokował: „dla uproszczenia i t. d., odrzucmy wiadomość o poselstwie Rościławowem, bo tak być nie mogło!“

Nic łatwiejszego, niż wykazać jawną tendencyjność legend. Pierwszą ich zasadą i najważniejszą było usuwać wszelki cień inicyatywy od osoby Konstantego. Konstanty, to duch niespokojny, rwący się sam na wsze strony, do misyi arabskiej, chazarskiej, morawskiej. Legendy wszystko na opak przedstawiają; wedle nich on się zawsze usuwa w najgłębsze klasztorne zacisze, ale cesarz i patriarchy wydobywają go stamtąd stale i powierzają młodzieniaszkowi najcięższe zadania. Więc to cesarz z patrycyuszami wysyła go na dysputę z obrazoburczym patriarchą, gdy może lat 20-tu nie miał spełna, a uczyć późno się zaczął! Wysyłają go na ustne dysputy teologiczne z Arabami, o jakich się ani cesarzowi ani Arabom nie śniło; Arabowie, osaczeni jego mądrością, chcieli go otruć, o czym się znowu Arabom nigdy nie śniło. Przyznaje to prof. Potkański (str. 10), pisząc „z pewnością też, choć to opowiada żywot, truć nikogo nie chcieli, ani nie zamierzali“. Tak samo posyła go cesarz i patriarchy do Chazarów i na Morawy, a papież Mikołaj zaprasza go, chcąc widzieć tego anioła, do Rzymu. Wszystko to raczej bajki, skoro o tak niby wpływowym i rozrywającym na wsze strony człowieku, źródła greckie uporczywie milczą. Jedyny Grek, Mitrofan, opowiedział raz Anastazyuszowi rzymskiemu o misyi chazarskiej Konstantego wedle słów jego samego, z powodu odnalezienia relikwii Klemensowych; nikt inny o niczem nie wie. Misya ta chazarska w żywocie zresztą znowu przesadzona. Wolno powątpiewać, czy Konstanty ogółem do chagana się dostał; skończyło się może na próbie u byle jakiego wojewody chazarskiego na pograniczu, a upoważnia nas do takiej wątpliwości fakt, że żywot, obfitujący w bardzo ciekawe szczegóły o Chersoniu i o okolicy Krymskiej, najmniejszego szczegółu z rezy-



dencyi, otoczenia, zwyczajów chazarskich, nie zachował. Więc wie-  
rzyć mi się jakoś nie chce w bytność Konstantego u samego chia-  
gana. Rezultatu zresztą ta misya nie miała żadnego.

Z taką samą tendencyjnością przedstawia „żywot“ i dar  
językowy Konstantego. Żeby wszelkie pytania niedogodne usunąć,  
składa on wszystko na łaskę Bożą, a słuszne rekryminacye ducho-  
wieństwa łacińskiego—na podniecie dyabelską. Otóż, łaska Boża  
podsunęła Konstantemu głągolicę; tak samo oświecała go w he-  
brajszczyźnie (i tu podaje „Żywot“ szczegóły niemożliwe!!) w „ru-  
skiej“ biblii i w samaryjańskiej.

Dziwi nas więc niekonsekwencya prof. Potkańskiego, raz  
odrzucającego jedne wymysły „żywotów“, to znowu przyjmujące-  
go inne. Widoczne jest np. ich upiększenie w wersyi, jakoby ce-  
sarz twierdził, że wszyscy Solunianie czysto po słowiańsku mówią.  
Nie byliby ci Solunianie na Bazyla czekali, lecz sami Michała III  
uśmiercili, gdyby takie „bluźnierstwo“ z ust jego usłyszeli. Takie  
i tym podobne „upiększenia“ (np. hiperboliczne pochwały dla Ro-  
ściśława, porównanego z Konstantynem Wielkim;—nawet prof.  
Potkański nie przelknął tej pigułki i uważa ją za „dodatek auto-  
ra żywotu“), nauczyły mnie większej ostrożności i nieufności.

„Żywoty“ twierdzą, że Konstanty dopiero po przybyciu po-  
sełstwa morawskiego i po przyjęciu tej misyi, wynalazł alfabet słow-  
iański; prof. Potkański również najchętniej na to by się zgo-  
dził, boć to najwygodniejsze dla dawnego poglądu na tę „apostolkę“.  
Lecz jeżeli Konstanty dla Morawian dopiero wynalazł alfabet i dla  
nich dokonywał przekładów, jakimże cudem się stało, że właśnie  
morawskiego narzecza nic a nic przytem nie uwzględnił i narzu-  
cał Morawianom obce całkiem narzecze, rażące im niemilosiernie  
uszy swoimi: *noszti* zamiast *nocy*, *nązda* zamiast *nędza* (lub *nudzu*)  
i *moleniem* zamiast *modleniem*? Jeżeli dla Moraw dopiero pracow-  
wał Konstanty, dlaczegóż stał tak twardo przy każdej literze so-  
łuńskiej? Jakże wytłomaczy prof. Potkański wynalazek głą-  
golicy? Przecież to pismo nie ułatwia, lecz, jedyne w swoim ro-  
dzaju, utrudnia kulturę!! Jeżeli nie kierowały Konstantym względy  
uboczne, dlaczegóż nie wypisywał słowiańskiego a, k i t. d. łaciń-  
skimi i greckimi znakami, lecz wymyślał krzyżyki i haczyki, ażeby  
pismo utrudnić. Ulfila nigdy tego nie robił. Moja teoria obja-  
śnia natomiast dostatecznie ów dziwaczny wynalazek. Chodziło  
Konstantemu o to, aby wszelkimi sposobami odciąć Słowian od  
Rzymu; liturgia w narodowym języku i dziwaczne pismo miały  
stworzyć mury chińskie, zaprzepaścić wszelką, już istniejącą łącz-

ność Słowian z Zachodem. I osiągnął Konstanty to, czego pragnął, lecz koszta jego tryumfu opłacili wschodni Słowianie.

Bo na zachodzie misya jego się nie powiodła. Że u Rościśława nic nie uzyskał, prócz uwolnienia kilku więźniów, tego domyśla się nawet prof. Potkański; ze słów „Żywota“ przebija to wyraźnie. Wedle mojej „teoryi“ byłoby to całkiem naturalne: Nie posyłał przecież Rościśław po niego. Ci Grecy, acz językiem na poły domowym wabili naiwnych Morawian, niepokoili go; duchowieństwo katolickie (miał np. krewniaka mnichem) kładło mu ciągle i słusznie w uszy, że to niepewni, chyba „kacerze“, i Rościśław wyprosił sam może obu braci z kraju, polecając im, aby się wpierw wystarali o aprobatę papieską. Bez takiej aprobaty bowiem nie mógłby dzieła ich uważać za prawowite, ani u siebie go znosić. Dlatego to *nolens volens*, wybrał się Konstanty do Rzymu; przekonał się, że rzeczy gładko nie pójdą, że autoryzacya papieska nieodzowna—więc nie dla moralnego uroku osobistości Mikołaja I, którego gorący Focyusza przyjaciel z całej duszy chyba nienawdził, lecz dla nieodzownej potrzeby, pociągnął Konstanty przed „apostolika“ z ciężkim sercem, licząc na relikwie św. Klemensa, jako na największy skarb dla Rzymu i dla Rzymian.

A. BRÜCKNER.

(dok. nast.)

---